INFORMATOR

Towarzystwa Przyjaciół Skawiny

Numer 107 (2/2023)

Wydawca:
Towarzystwo Przyjaciół Skawiny
ul. Żwirki i Wigury 23/16
32-050 Skawina

Publikacja współfinansowana ze środków
budżetu Miasta i Gminy Skawina

Redakcja:
Stanisław Grodecki, Mariusz Tarnopolski,
Ewa Tarnopolska

*Redakcja „Informatora Towarzystwa Przyjaciół Skawiny”
zastrzega sobie prawo do selekcji nadesłanych materiałów,
a w razie potrzeby do ich korekty.
Materiały do druku przyjmowane są wyłącznie
w formie elektronicznej.
Niezamówionych materiałów Redakcja nie zwraca.
Redakcja i Autorzy nie otrzymują honorarium
za nadesłane teksty.*

Adiustacja:
Magdalena Świerzowska

© Copyright by Towarzystwo Przyjaciół Skawiny
Skawina 2023

ISSN 1234-0162

Nakład: 500 egz.

Skład i druk:
Wydawnictwo i Drukarnia TERCJA
ul. Golikówka 77/1, 30-723 Kraków
tercja-tercja1@o2.p

SPIS TREŚCI

Stanisław GRODECKI, *XVII Kwesta Na Ratowanie Zabytkowych Skawińskich Cmentarzy* 4
Mariusz TARNOPOLSKI, *Teatr mój widzę ogromny* 14
Mariusz TARNOPOLSKI, *Nie wyrzucaj — wykorzystaj* 16
Maciej BURDZY, *O dawnej kaflarni w Skawinie* 18
Adrian MUSIAŁ, *Powróćmy do źródeł naszej wsi. Uzdrowisko Jaśkowice* . 22
Krystyna KOLSTRUNG-GRAJNY, *Wspomnienie o Wandzie Frańczak* . 30
Krystyna KOLSTRUNG-GRAJNY, *Kochajmy wierzby* 34
Karol KOŚCIELNY, *103. rocznica Zaślubin Polski z Morzem* 48
Krystyna KOLSTRUNG-GRAJNY, Ewa TARNOPOLSKA, *Biesiada, że hej!* 54

foto M. Kania

Stanisław GRODECKI

XVII KWESTA NA RATOWANIE ZABYTKOWYCH SKAWIŃSKICH CMENTARZY

Tradycyjnie w dniu 1 listopada 2023 r. Towarzystwo Przyjaciół Skawiny zorganizowało kwestę na ratowanie zabytkowych nagrobków na dwóch skawińskich cmentarzach, parafialnym i komunalnym. Organizowane przez nas zbiórki są sposobem na pozyskanie środków finansowych na renowację zabytkowych nagrobków. Niezmiennie podkreślamy potrzebę troski o miejsca dokumentujące naszą skawińską historię. Pieniądze zebrane podczas dotychczasowych kwest przyczyniły się do podniesienia walorów estetycznych zabytków cmentarnych, które poddane są niszczącemu działaniu czasu, a także zmiennym warunkom pogodowym.

Jak co roku wolontariuszami byli reprezentanci niemalże wszystkich skawińskich środowisk. Wśród kwestujących mogliśmy spotkać przedstawicieli władz lokalnych i państwowych: panią poseł, wicestarostę powiatu krakowskiego, Burmistrza Miasta i Gminy Skawina i jego zastępcę, przewodniczącą Rady Miejskiej w Skawinie, członków zaprzyjaźnionych z naszym Towarzystwem organizacji i instytucji oraz oczywiście członków i sympatyków TPS, czyli wszystkich popierających ideę świątecznego kwestowania i renowacji zabytkowych skawińskich nagrobków.

W tym roku w kweście wzięli udział: Zdzisława Nowak-Różycka, Danuta Kanonik, Witold Grabiec, Agnieszka Juszczak-Lisek, Czesława Kopeć, Alicja Płonka, Magdalena Tarnopolska, Kuba Tarnopolski, Rafał Szczypczyk, Krystyna Pyzik, Joanna Węgrzyn, Krystyna Kolstrung-Grajny, Marek Mrozowski, Jacek Krupa, Łukasz Krupa, Ewa Masłowska, Tomasz Papież, Arkadiusz Wrzoszczyk, Mirosław Bednarski, Antoni Holik, Marek Klimczyk, Małgorzata Kopeć, Krystyna Droździewicz, Norbert Rzepisko, Zuzanna Wędzicha, Dorota Marek, Anna Wąsowicz, Karol Kościelny, Marcin Kuflowski, Magdalena Turkawska, Tomasz Stawowy, Urszula Stochel, Adam Wójcik, Wojciech Pac, Piotr Kołodziej, Jan Liskiewicz i Stanisław Lupa.

foto M. Kania

Liczną grupę stanowiła młodzież ze skawińskich szkół: uczniowie z Liceum Ogólnokształcącego, z Zespołu Katolickich Szkół oraz harcerze ze Związku Harcerstwa Rzeczpospolitej ze Skawiny. Na cmentarzu komunalnym w Korabnikach kwestowali druhny i druhowie z OSP Skawina II-Korabniki oraz członkowie drużyn młodzieżowych. Nie sposób wymienić ich wszystkich, jednakże wszyscy oni otrzymali od Zarządu TPS imienne okolicznościowe dyplomy uczestnictwa w XVII Kweście.

ul. Poniatowski
(012) 276-37-91, (012) 276-23-00
KWESTA
KWESTA

KWESTA
na ratowanie
zabytkowych
nagrobków
Skawińskich Cmentar
TOWARZYSTWO

VIRIBUS UNITIS
UWAGA
OBIEKT
MONITOROWANY

Wszystkim bezpośrednio zaangażowanym w tegoroczną kwestę gorąco dziękujemy, że poświęcili swój wolny czas. Zarząd TPS dziękuje wszystkim, którzy pomogli w organizacji XVI Kwesty, a w szczególności: druhowi Krzysztofowi Czopkowi i druhowi Łukaszowi Martynie z OSP Korabniki, druhnie Oliwii Dudziak z ZHR, a także koordynatorom ze skawińskich szkół: Małgorzacie Morawie oraz Bogumile Obrączce.

Tradycyjnie po zakończonej kweście zamknięte puszki zostały zdeponowane w sejfie Straży Miejskiej w Skawinie, a nazajutrz rano po odbiorze ze straży odbyło się komisyjne liczenie zebranych pieniędzy. Komisja pracowała w składzie: Halina Lech, Zofia Płonka, Mariusz Tarnopolski i Stanisław Grodecki.

Gorące podziękowania należą się również członkom Towarzystwa Przyjaciół Skawiny, którzy przed uroczystością Wszystkich Świętych uporządkowali nagrobki, którymi się opiekujemy. W tym roku byli to: Ewa Tarnopolska, Krystyna Kolstrung-Grajny oraz Jan Liskiewicz.

Komisyjne liczenie pieniędzy

Porządkowanie nagrobków

RENOWACJA ZABYTKOWYCH NAGROBKÓW W ROKU 2023

Po raz pierwszy w historii realizowanych przez TPS działań na skawińskich cmentarzach renowacji poddano zabytkowe obiekty architektury cmentarnej na cmentarzu komunalnym w Korabnikach — obeliski upamiętniające dziedziców Korabnik.

Przez wiele wieków Korabniki należały do szlachciców z Księstwa Oświęcimskiego i Zatorskiego. W 1817 r. za sprzyjanie wojskom Napoleona Bonaparte nastąpiła kasacja klasztoru tynieckiego i utworzono wtedy tzw. dobra kameralne, do których włączono Korabniki. Odtąd wieś podlegała urzędowi gospodarczemu w Tyńcu. Na przełomie XVIII i XIX w. jako odrębna posiadłość powstały Korabniki Górne, gdzie założono oddzielny folwark i dwór.

Korabniki Dolne dziedziczyli Maksymilian i Ksawera Dzięgielowscy, którzy w 1880 r. kupili również folwark w Korabnikach Górnych. W 1885 r. w zamian za dożywotnią rentę dla poprzednich dziedziców Korabniki stały się własnością Edwarda i Zofii Brudzewskich. Zofia Brudzewska urodziła się w Cerekwicy i była żoną Edwarda Brudzewskiego von Brause herbu Newlin, powstańca styczniowego. Była też matką sześciorga dzieci: Karola, Kazimierza, Zofii, Anny, Jadwigi i Adeli. W tej ostatniej podkochiwał się Stanisław Wyspiański.

Pierwotnie ciała Maksymiliana Jastrzębca Dzięgielowskiego (1824–1886) i Zofii z Moraczewskich Brudzewskiej (zm. 4 stycznia 1890 r.) spoczęły w grobie na cmentarzu parafialnym w Skawinie. Obydwu zmarłym postawiono stosowne nagrobki z piaskowca, które przetrwały do lat 80. XX w. Następnie, w ramach porządkowania terenu cmentarza parafialnego, obydwa obeliski trafiły wraz z innymi płytami nagrobnymi pod mur zewnętrzny w okolice kaplicy cmentarnej, gdzie leżały ponad 20 lat.

Po raz pierwszy stały się one obiektem zainteresowania Towarzystwa Przyjaciół Skawiny w 2011 r. podczas remontu kaplicy na cmentarzu parafialnym. Ze względów finansowych nie wykonano jednak prac konserwatorskich.

Po konsultacjach z księdzem proboszczem Edwardem Ćmielem i uzgodnieniach z Urzędem Miasta i Gminy w Skawinie podjęto decyzję o przeniesieniu zabytkowych nagrobków na cmentarz komu-

Tak wyglądały nagrobki dziedziców Korabnik przed renowacją

nalny w Korabnikach. Zostały one umieszczone przy wejściu na cmentarz, w pobliżu krzyża misyjnego. I choć miejsce to nie jest rzeczywistym miejscem pochówku zmarłych, to symbolicznie upamiętnia dziedziców Korabnik. Ponieważ TPS nie dysponował wówczas kwotami umożliwiającymi renowację, całą operację wykonano niemal bezkosztowo dzięki pomocy między innymi firmy Gomobud z Borku Szlacheckiego, dokonując tylko niezbędnych zabiegów scalających i podnoszących estetykę obydwu historycznych obelisków.

W takim stanie przetrwały do bieżącego roku. Chociaż na pierwszy rzut oka nagrobki te prezentowały się nieźle, to jednak ich ponad 120-letnia historia spowodowała naturalną degradację. Obydwa wykonane były z kamienia piaskowcowego, który jest materiałem o zróżnicowanym uziarnieniu i ilasto-węglanowym spoiwie. Jest stosunkowo kruchy, miękki i zarazem nasiąkliwy.

Piaskowce z wiekiem starzeją się. Proces ten jest ciągły. Polega na wewnętrznej, naturalnej przemianie wraz z rozkładem pod wpływem czynników chemicznych, biologicznych oraz fizycznych. Chłonna powierzchnia piaskowca przyspiesza degradację nagrobka. Naturalne procesy niszczenia obiektu są spotęgowane przez zanieczyszczone powietrze. Wraz z wodą opadową w głąb kamienia przedostają się różne związki chemiczne. Krystalizujące się na powierzchni kamienia sole rozsadzają i degradują go. Powyższe procesy zachodzą bardzo powoli, ale z upływem czasu stają się coraz bardziej widoczne.

Głównym celem prac konserwatorskich była poprawa stanu technicznego nagrobków oraz przywrócenie im pierwotnych walorów artystycznych. W trakcie prac nagrobki oczyszczono z mchów i porostów. Umyto je za pomocą myjki ciśnieniowej, a czarną patynę usunięto, stosując kompresy nasączone roztworem kwasu fluorowodorowego. Nagrobki wyspoinowano. Ubytki kamienia uzupełniono kitem mineralnym. Zostały one zaimpregnowane specjalnym preparatem. Inskrypcje na płytach nagrobnych odświeżono przy użyciu roztworu Paraloidu B-72. Całą powierzchnię kamienia poddano hydrofobizacji preparatem silikonowym. Dużym zmianom uległo także bezpośrednie otoczenie nagrobków. Dotychczasową płytę betonową i tablicę kamienną z elementami metalowo-plastikowymi zastąpioną tablicą informującą o tym miejscu. Uporządkowano otoczenie wokół nagrobka.

Nagrobki dziedziców Korabnik po renowacji

Koszt całej inwestycji wyniósł 21 277 zł. Kwota ta była nieznacznie wyższa od środków, jakimi dysponowaliśmy na dzień zakończenia prac. Dzięki wieloletniej współpracy z konserwatorem udało nam się odroczyć termin płatności, tak aby móc dokonać zapłaty za wykonaną pracę częściowo z pieniędzy zebranych w czasie tegorocznej kwesty.

Zdjęcia wykorzystane w artykule
wykonała Katarzyna Skrzybalska

Mariusz TARNOPOLSKI

TEATR MÓJ WIDZĘ OGROMNY

Tytułowy projekt to wspólne działanie Towarzystwa Przyjaciół Skawiny, Fundacji Środowiskowy Dom Samopomocy w Skawinie oraz Fundacji Skawińskie Centrum Wolontariatu. Główny nacisk w tym projekcie położono na kształtowanie twórczych, odpowiedzialnych i świadomych postaw wobec kultury poprzez przeprowadzenie prób wznowieniowych do przedstawienia teatralnego pt. *Venimus* oraz jego prezentację. Spektakl przybliżył widzom postać wielkiego króla Jana III Sobieskiego oraz tło społeczne dramatu. Na zaproszenie Ogólnokształcącej Szkoły Baletowej im. Romana Turczynowicza w Warszawie grupa teatralna „Krewni Pana Boga" z ŚDS udała się na dwa dni do stolicy. Działania związane z projektem oraz ich przebieg najlepiej zrelacjonowała kierownik Środowiskowego Domu Samopomocy p. Stanisława Szczepaniak:

> Na zaproszenie Dyrekcji Szkoły Baletowej im. Romana Turczynowicza w Warszawie zorganizowaliśmy występ teatralny pt. *Venimus — rzecz o Janie III Sobieskim*.
> Niepełnosprawni aktorzy tworzą amatorską grupę „Krewni Pana Boga" od 2016 r. W repertuarze mamy kilkanaście sztuk autorskich dedykowanych tym właśnie artystom. Staramy się eksponować posiadane sprawności i talenty, a nie oczywiste trudności, których w codziennym życiu doświadczają.
> Jestem autorką scenariuszy. Pomaga mi w tym wieloletnie doświadczenie w pracy z osobami niepełnosprawnymi. Od początku powstania Grupy jestem jej reżyserem i scenarzystą.
> *Venimus* to spektakl historyczny, jeden z dwóch o takiej tematyce, który znajduje się w repertuarze *Krewnych*. Wymaga od aktorów zróżnicowanych umiejętności aktorskich. Jedną z nich jest np. umiejętność poruszania się w strojach z epoki, co nie jest wcale proste. Ponadto plastyczność tego przedstawienia wymaga szczególnej koncentracji, opanowania i koordynacji w zespole. Te wszystkie wymagania są spoiwem dobrego zgrania zespołu, treningiem współpracy, wzajemnej pomocy i wsparcia. Teatr jest dla tej grupy również doskonałym ćwiczeniem pamięci, nabywania umiejętności społecznych i sztuki komunikacji.

Venimus w Warszawie zagrany został podczas Szkolnego Dnia Wolontariatu. W organizację wydarzenia włączyła się młodzież, dla której współpraca z osobami z niepełnosprawnościami była lekcją

„Krewni Pana Boga" na warszawskiej scenie (foto z archiwum ŚDS)

wrażliwości i empatii. Szczególnie dla uczniów tej szkoły, której wychowankowie są wybitnie uzdolnieni artystycznie. Dla nich obejrzenie spektaklu w wykonaniu niepełnosprawnych aktorów było niezwykłą lekcją wychowawczą. Taki też był zamysł projektu.

> Uczniowie widzą, że nie jest najważniejsza sprawność i rywalizacja, lecz zaangażowanie, akceptacja swoich niedoskonałości i współpraca oraz wzajemna pomoc

— mówi wicedyrektor szkoły Gabriel Mania. I są to bezcenne doświadczenia, których pamięć, miejmy nadzieję, nie przeminie wraz z ostatnim dzwonkiem w roku szkolnym.

Mariusz TARNOPOLSKI

NIE WYRZUCAJ — WYKORZYSTAJ

Wraz z nastaniem tegorocznej wiosny wspólnie ze Środowiskowym Domem Samopomocy oraz Skawińskim Centrum Wolontariatu Towarzystwo Przyjaciół Skawiny przystąpiło do realizacji projektu pn. „Nie wyrzucaj — wykorzystaj". Głównym celem tego przedsięwzięcia było kształtowanie postaw zgodnych z etyką ekologiczną i zasadą „zero waste" poprzez wykonanie 15 domków dla owadów oraz ich przekazanie reprezentantom małopolskich środowiskowych domów samopomocy uczestniczących w Małopolskim Konkursie Artystycznym im. Marii Grucy. Projekt zaplanowany został w taki sposób, aby służył nie tylko pogłębianiu wiedzy, ale i pobudzaniu aktywności uczestników, ich twórczego myślenia, współdziałania w zespole. Materiały konieczne do realizacji zadania w całości pochodziły ze źródeł odnawialnych lub recyklingu. Działania podejmowane w trakcie realizacji były również elementem uatrakcyjniającym program realizowany w trakcie zajęć rozwijających kreatywność, komunikowanie się oraz funkcjonowanie osobiste i społeczne uczestników Środowiskowego Domu Samopomocy w Skawinie.

Wartość dodaną projektu stanowił fakt, iż w jego realizację włączone zostały osoby z niepełnosprawnościami. Jak wynika z obserwacji kadry Środowiskowego Domu Samopomocy w Skawinie osoby z niepełnosprawnością dzięki aktywnemu działaniu w sferze ekologii zgodnie z zasadą „zero waste" nie tylko poszerzyły swoją wiedzę teoretyczną i praktyczną, ale również mogły zamanifestować własne istnienie w tak ważnym procesie, jakim jest szeroko pojęta edukacja ekologiczna.

Dlaczego domki dla owadów? Ponieważ, jak wynika ze specjalnego sprawozdania Europejskiego Trybunału Obrachunkowego, w minionych dziesięcioleciach drastycznie zmniejszyła się zarówno liczebność, jak i różnorodność gatunków dzikich owadów zapylających w UE. W globalnej ocenie stanu owadów zapylających z 2016 r. stwierdzono, że liczebność dzikich owadów zapylających gwałtownie się zmniejsza pod wpływem działalności ludzkiej stanowiącej dla

Przedstawiciele Środowiskowych Domów Samopomocy odbierają pamiątkowe domki dla owadów (foto K. Skrzybalski)

nich coraz większe zagrożenie, w tym pod wpływem zmiany klimatu. Sprawozdanie z oceny stanu owadów na świecie z 2019 r. potwierdziło tendencję spadkową, jeżeli chodzi o liczebność owadów w ogóle, oraz fakt, że zagrożonych wyginięciem jest ponad 40% gatunków owadów. W 2020 r. Światowe Forum Ekonomiczne uznało utratę różnorodności biologicznej za jedno z pięciu długoterminowych globalnych zagrożeń. Stwierdzono, że spadek liczby owadów zapylających spowoduje odejście od upraw bogatych w substancje odżywcze (owoce, warzywa i orzechy — z których wszystkie wymagają zapylenia przez owady) na rzecz ubogich w substancje odżywcze, wysokokalorycznych upraw podstawowych (np. ryżu, kukurydzy, pszenicy, soi i ziemniaków). Główne przyczyny tego spadku to między innymi utrata siedlisk w następstwie przechodzenia na rolnictwo intensywne, a także wykorzystanie pestycydów i nawozów. Obecnie poziom chemizacji rolnictwa jest tak wysoki, że wiele pożytecznych gatunków ma trudności z przetrwaniem. Jednocześnie sami wybieramy czasem pestycydy do walki ze szkodnikami w naszych ogrodach. Globalnie zdajemy sobie sprawę, że to nie ma sensu, ale jaka jest alternatywa? Wyborem jest właśnie wspomaganie pożytecznych owadów. Chodzi między innymi o zwabienie do ogrodu dzikich pszczół lub trzmieli, które zapylają kwiaty. Innymi cennymi gatunkami są biedronki i złotooki, które zjadają mszyce. Łowiki z kolei polują na muchówki i chrząszcze. Podsumowując, wszyscy musimy sobie odpowiedzieć na pytanie: czy w dzisiejszej dobie projekt taki jak ten jest możliwością czy koniecznością? Ziemia potrzebuje nas tu i teraz.

Projekt współfinansowany ze środków Gminy Skawina w ramach zadania publicznego „Ekologia i ochrona zwierząt oraz ochrona dziedzictwa przyrodniczego”.

Maciej BURDZY

O DAWNEJ KAFLARNI W SKAWINIE...

W 1909 r. w Skawinie powstała Pierwsza Galicyjska Fabryka Wyrobów Kamionkowych i Szamotowych Sp. z o.o., posiadająca własną szamotownię. W późniejszym czasie zmieniono nazwę przedsiębiorstwa na Fabryka Wyrobów Szamotowych i Fajansowych S.A. Fabryka w pewnym zakresie kontynuowała tradycję wytwórni kafli Józefa Niedźwieckiego z Dębnik, a wpływ na jej produkcję miał Tadeusz Sławiński.

O fabryce w Skawinie w 1917 r. (Z. Ehrenpreis, *Wyrób materiałów ogniotrwałych w Galicyi*, [w:] *Pamiętnik II. Galicyjskiego Zjazdu Przemysłowego odbytego w Krakowie w dniach 28-30 września 1917*) napisano:

> Przemysł wyrobów ogniotrwałych w Galicyi i Królestwie Polskiem, w porównaniu z przemysłem ogniotrwałym w Austryi, uważać musimy za przemysł młody. Podczas gdy gałęź ta przemysłu ceramicznego uprawiana jest w Austryi od roku 1840, w Galicyi powstała właściwie dopiero w roku 1910, kiedy założono fabrykę w Skawinie; istniejące bowiem poza tą fabryką dwa inne przedsiębiorstwa, w Krzeszowicach i Rawie ruskiej, wyrabiające obok zwykłej cegły czerwonej także w nieznacznych ilościach mniej wartościową cegłę szamotową, do fabryk wyrobów ogniotrwałych zaliczane być nie mogą, ile że wyroby tych fabryk nie odpowiadają wymaganiom i warunkom, jakie się dziś stawia materyałom ogniotrwałym. W Austryi istnieje 54 fabryk materyałów ogniotrwałych, zatrudniających po 80 do 600 robotników, o sile motorycznej 80–700 koni parowych. Materyały surowe, potrzebne do fabrykacyi, znajdują się w niektórych przedsiębiorstwach na miejscu, w innych znowu sprowadza się je z kopalń glinek ogniotrwałych. […] Przed r. 1910, zwłaszcza gdy Galicya nie posiadała jeszcze własnej fabryki wyrobów szamotowych, umieszczanie u nas w kraju niemieckich wyrobów ogniotrwałych nie natrafiało na zbytnie trudności, a walka konkurencyjna powstała dopiero od chwili założenia w tym roku pierwszej w kraju fabryki szamotowej, która jako główne zadanie postawiła sobie wyrugowanie z kraju wyrobów niemieckich, tak zachodnio-austryackich, jak i pruskich, i opanowanie galicyjskiego rynku zbytu. Rezultatem realnym tej walki konkurencyjnej była znaczna obniżka ceny, niepokrywającej czasem nawet kosztów produkcyi. Przeto dla rozwoju przemysłu ogniotrwałego w Galicyi i Królestwie koniecznem jest zaprowadzenie wyższych ceł ochronnych, ile że cło dotychczasowe nie ochrania nas przed zalewem materyałami ogniotrwałymi pruskimi: tu też przypominam raz jeszcze hasło rzetelnego wzajemnego popierania się, które należy praktycznie przeprowadzić.

O jej działalności napisano także w 1922 r. (T. Kruszyński, *Zdunowie gdańscy w dawniejszych czasach*, „Przemysł, Rzemiosło, Sztuka"):

> Jedna z największych w Polsce fabryk w Skawinie pod Krakowem wyrabia fajanse i szamoty („chamotte" jest to wyrób ogniotrwały, z przepalonej mielonej gliny, zmieszanej ze świeżą, i powtórnie wypalonej). Wyroby tej fabryki dobre pod względem wykonania, wykazują usilne staranie nad nadaniem odpowiedniej szaty artystycznej.
> W 1926 r. zakład składał się z trzech działów: szamotowego, fajansowego, pieców kaflowych. W ofercie zakładu znalazły się: materjał szamotowy (cegły normalne i fasonowe, mufle, płyty, itp.) o najwyższej ogniotrwałości do wszelkich celów wielkiego przemysłu, zaprawy ogniotrwałe […], naczynia użytkowe […] i białe kafle szamotowe tzw. Hardmutowskie.

W II połowie lat 20. XX w. funkcjonowanie fabryki wywołało konflikty w tej branży i przyczyniło się do powołania spółdzielni kaflarskiej „Kafel". Możemy o tym przeczytać w kolejnym sprawozdaniu:

> [Z]aszczepiona jednak idea spółdzielczej pracy rozwija się i krzepnie w ustawicznej walce między cechowymi mistrzami a wyzyskiwanymi czeladnikami. Sprzymierzeńcem mistrzów w tej walce są właściciele Fabryki Kafli w Skawinie. W Skawinie bowiem stosuje się niespotykaną dotychczas w Krakowie mechaniczną produkcję kafli. Pozwala to na przyjmowanie do pracy znaczną część robotników niewykwalifikowanych lub częściowo tylko przyuczonych. Stan ten powoduje uniezależnienie się od czeladników, ale zarazem i to, że wyroby skawińskie są jakościowo gorsze od wyrobów ręcznych, gdyż wymagają dodatkowego trudu przy obróbce. Trud ten ponoszą czeladnicy zduńscy, a ich zarobki ulegają dalszej obniżce.
> Na ten stan rzeczy reaguje związek zawodowy żądaniem podwyższenia wynagrodzenia za stawianie pieca z kafli skawińskich. Dyrekcja zaś fabryki, widząc, że konflikt przybiera na sile i obawiając się o utratę odbiorców, postanawia zorganizować kurs stawiania pieców dla przygotowania nowych pracowników w tym zawodzie i polepszyć jakość wyrobów. Realizację tego zadania przyjął na siebie cech zdunów w Krakowie. Wobec takiego obrotu sprawy czeladnicy nie mogli pozostać bierni. Groźba zwiększonej konkurencji w zawodzie powodowała konieczność szukania przeciwśrodków i to takich, któreby z jednej strony uniezależniały od mistrzów, właścicieli zakładów usługowych, z drugiej od dostawców kafli. Takim przeciwśrodkiem mógł być jedynie własny zakład pracy.

W 1933 r. przedsiębiorstwo zaniechało produkcji fajansu i poza materiałami szamotowymi dla przemysłu oferowało białe i kolorowe

FABRYKA WYROBÓW SZAMOTOWYCH i FAJANSOWYCH S.A.
w Skawinie

wyrabia i poleca:

1) W dziale wyrobu materjałów szamotowych:
kamienie szamotowe normalne i fasonowe do wszelkich celów przemysłowych. — Specjalność: kamienie dla przemysłu górniczo-hutniczego, jak dla Wielkich Pieców, do aparatów Cowpera, kamienie spustowe i kadziowe, zatyczki i wylewy, kamienie dla przemysłu koksowniczego, cukrowniczego, gazowniczego, chemicznego itd.

2) W dziale wyrobów materjałów dynasowych:
kamienie normalne i fasonowe, dynasowe do wszelkich celów przemysłowych

3) W dziale wyrobów kaflowych:
pierwszorzędne białe i kolorowe szamotowe kafle najwyższej jakości.

34

FABRYKA WYROBÓW
SZAMOTOWYCH i FAJANSOWYCH
Spółka Akcyjna w Skawinie (Zachod. Małop.)

wyrabia i poleca:

w dziale szamotowym: materjał szamotowy (cegły normalne i fasonowe, mufle, płyty itp.) o najwyższej ogniotrwałości, do wszelkich celów wielkiego przemysłu; zaprawy ogniotrwałe. Produkcja roczna — 15 miljonów kg.

w dziale fajansowym: naczynia użytkowe, serwisy, garnitury umywalniane i kuchenne, umywalki i klozety.

w dziale pieców kaflowych: białe kafle szamotowe, t. zw. Hardtmutowskie.

Telegramy: **Szamotownia Kraków.** Telefony: **Kraków 1080, 2226.**

Wycinki prasowe nawiązujące do działalności Fabryki Wyrobów Szamotowych i Fajansowych w Skawinie

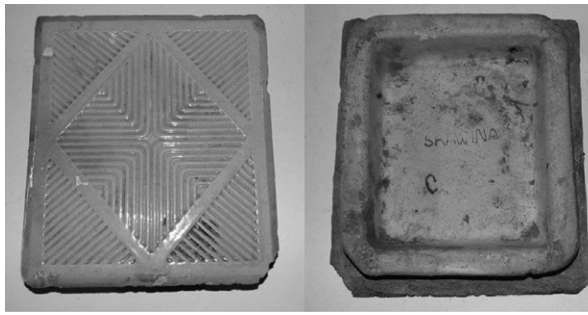

Jeden z najpopularniejszych wzorów kafli piecowych, wytwarzanych w skawińskiej fabryce

szamotowe kafle pierwszorzędnej jakości, dorównując w zupełności najlepszym fabrykom zagranicznym. W 1917 r. zlikwidowano dział kamionki. W tym czasie w zakładzie, w dziale fajansów (garncarni), pracowali znani ceramicy: Austriak Alfons Flajk i Czesi: Robert Zika i [imię nieznane] Rikier. Po zakończeniu I wojny światowej w Skawinie pojawili się Słowacy: Jan Vasenda i jego syn Jan (junior). Na przełomie 1927/1928 r. dział fajansów został zlikwidowany, a Flajk, Zika i Rikier opuścili fabrykę. W tym okresie powstał dział kafli szamotowych. W 1928 r. jego kierownikiem był Jan Vasenda (senior), a po nim kolejny Czech — [imię nieznane] Szulc. Ostatnim kierownikiem zakładu przed wybuchem II wojny światowej był Czech Henryk Rosenbaum. Twórcą modeli kafli i form gipsowych był Wacław Pekarek. W 1930 r. kapitał zakładowy wynosił 1,2 mln zł, maszyny liczyły 600 koni mechanicznych, a zakład zatrudniał około 680 pracowników.

W okresie międzywojennym artystyczne wyroby fajansowe ze skawińskiej fabryki zyskały sporą popularność i sygnowane były nazwą miejscowości, tarczą herbową z napisem Skawina lub czarnym znakiem swastyki. Przed rokiem 1939 w zakładzie zatrudnionych było 160 osób. Firma przetrwała II wojnę światową, a po jej zakończeniu została przejęta przez Skarb Państwa i zajęła się produkcją materiałów ogniotrwałych, przyjmując nową nazwę: Zakłady Materiałów Ogniotrwałych, w których pracowało 120 osób.

W 1946 r., po znacjonalizowaniu zakładu, jego kierownikiem został Wacław Pekarek. Do produkcji kafli używano gliny pochodzącej z kopalni Adamów na Kielecczyźnie. Kaflarnia została zamknięta dopiero w 1964 r.

Adrian MUSIAŁ

POWRÓĆMY DO ŹRÓDEŁ NASZEJ WSI. UZDROWISKO JAŚKOWICE

W wodzie leży uzdrowienie; jest to najprostszy, najtańszy i — jeżeli prawidłowo zastosowany — najbezpieczniejszy środek leczniczy
ks. Sebastian Kneipp

Na stację wjeżdża wielki i buchający obłokami pary pociąg. Z wagonów wysiada powoli bogate towarzystwo, sądząc po strojach. Damy w pięknych jasnych sukniach, z wielkimi kapeluszami, a panowie w letnich garniturach, z trzcinowymi laseczkami. Państwo przechodzi z peronu do centrum uzdrowiska. Kompleks zdrojowy usytuowany jest na niewielkim wzniesieniu. Już z daleka widać piękny pałacyk z wielkim tarasem, łazienki kąpielowe i gustowne wille z werandami. Z wielkiego parku, z którejś z altan, dobiega muzyka — kawałki z operetek czy walce Straussa…

Na pierwszy rzut oka wydawałoby się, że powyższy opis to wspomnienia z pobytu w jakimś modnym kurorcie. Może to Krynica albo Ciechocinek… Ale to wszystko działo się właśnie w naszych Jaśkowicach, gdy na przełomie XIX i XX w. wieś była licznie uczęszczanym uzdrowiskiem. Pomysł, wykonanie i początkową działalność uzdrowiska zawdzięczamy Antoniemu Zubrzyckiemu herbu Wieniawa. Stali bywalcy polskich kurortów zapewne znają dobrze to nazwisko z Rabki, w której w latach 70. XIX w. stryj Antoniego — Julian Zubrzycki — założył uzdrowisko. Antoni Zubrzycki w młodości kształcił się na zagranicznych

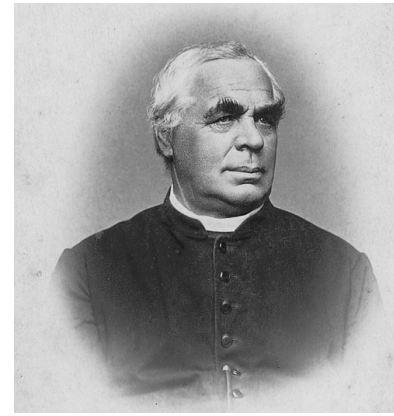

źródło: Wikipedia

ks. Sebastian Kneipp (1821–1897)

uczelniach i prawdopodobnie brał udział w powstaniu styczniowym. Po ojcu odziedziczył majątki w Kasinie Wielkiej i Dębowcu na Podkarpaciu. Po śmierci stryja stał się również współwłaścicielem uzdrowiska w Rabce, które ze względu na kłótnie z żoną zmarłego i rodzeństwem wkrótce sprzedał. Krótki epizod w Rabce miał ogromny wpływ na Zubrzyckiego podczas zakładania własnego uzdrowiska.

Zastanówmy się zatem, co skłoniło Antoniego Zubrzyckiego do założenia uzdrowiska w Jaśkowicach. Najważniejszą przyczyną było niezwykłe zdarzenie, które miało miejsce kilka lat po kupnie Jaśkowic od Henryka Dąmbskiego. Wiemy o nim z krótkiej broszurki dotyczącej zdrojowisk galicyjskich nieznanego autorstwa. Pewnego dnia Zubrzycki przypadkiem skaleczył się w nogę scyzorykiem, ale zbagatelizował problem. Mijały tygodnie, aż do rany wdało się zakażenie. Dopiero wtedy Zubrzycki udał się do lekarza w Krakowie. Chodził od doktora do doktora, ale niestety wszyscy orzekli straszliwy wyrok: amputacja nogi.

W tym samym czasie w Niemczech żył pewien katolicki ksiądz zwany „wodnym doktorem". Nazywał się Sebastian Kneipp. Nie miał wykształcenia medycznego, a jego niekonwencjonalna metoda leczenia wykorzystująca wodę oraz zioła opierała się na własnych doświadczeniach i obserwacjach oraz na pismach słynnego Czecha Vincenza Priessnitza, od którego nazwiska pochodzi słowo „prysznic". W odróżnieniu od działalności zwykłych znachorów jego metoda została w pełni uznana przez środowisko medyczne i jest do dzisiaj stosowana w całej Europie. W dobie rewolucji przemysłowej Kneipp jako jeden z niewielu dostrzegł, jak negatywne skutki niesie ze sobą odwrócenie się człowieka od natury i porzucenie tradycji hartowania ciała. Do wsi Wörishofen, w której posługiwał, zjeżdżały setki tysięcy osób, w tym nawet arcyksiążęta Austrii. Kneipp nie brał żadnych pieniędzy od pacjentów, propagował skromny i zgodny z naturą tryb życia, a wszystko, co miał, przeznaczał na promocję swojej nauki.

Wróćmy jednak do Antoniego Zubrzyckiego. Namówiony przez żonę Marię, Antoni wyjechał do Bawarii i został wyleczony przez ks. Kneippa. Najlepiej wykształceni lekarze z Krakowa nie pomogli, a, o dziwo, prosty proboszcz z Bawarii wyleczył Zubrzyckiego. Bez wątpienia doświadczenia z pobytu w Niemczech i — być może — rozmowy z duchownym wpłynęły na niego na tyle, że po powrocie

postanowił wprowadzić metodę ks. Kneippa w Polsce. Nie będę się dłużej rozwodził nad tym, na jakich zasadach opiera się system wodolecznictwa Kneippa, zainteresowanych odsyłam do książki: *Moje leczenie wodą*, autorstwa tego słynnego kapłana.

Antoni Zubrzycki, wspierany przez żonę i korzystając z doświadczeń wyniesionych z Rabki oraz Niemiec, otworzył w Jaśkowicach Koncesjonowany Zakład Wodoleczniczy i stację klimatyczną. Uroczystość otwarcia odbyła się 26 maja 1896 r. z wielką pompą. Dużo wcześniej pojawiły się liczne ogłoszenia o tym wydarzeniu, nie tylko w gazetach krakowskich, ale nawet w warszawskich i poznańskich. Na uroczystość Zubrzycki zaprosił m.in. wiceprezydenta Krakowa, starostę Wadowic, wielu lekarzy, radców i księży. Aktu poświęcenia dokonał proboszcz z Pobiedra ks. Franciszek Chrobicki. Nie wiemy, ile dokładnie budynków liczyło uzdrowisko, ale z opisów wynika, że były to: dom zdrojowy z restauracją, salonem dla pań, jadalnią i biblioteką z paroma tysiącami książek, kaplica, dla której Zubrzycki wystarał się o prawo odprawiania tylu mszy dziennie, ilu jest księży w zakładzie, pokoje dla bogatych kuracjuszy, umieszczone we dworze, oraz murowany budynek zakładu wodoleczniczego, w którym znajdowały się łazienki kąpielowe, urządzenia do różnorodnych zabiegów i pokoje lekarza zakładowego. Kolejnymi budynkami były cztery wille: *Kneipp*, *Woerishofen*, *Wawel* i *Marya*. Wille były prawdopodobnie drewniane, otoczone ogrodem, miały werandy, pokoje były w pełni umeblowane, a wszystko utrzymane na wysokim poziomie. Lekarzem zakładowym został lekarz ze szkoły rolniczej w Czernichowie dr Gustaw Malinowski. Do zabiegów stosowano wodę leczniczą ze źródła zlokalizowanego niedaleko dworu, zwaną przez mieszkańców wodą chrzanową.

Lata mijały. Sezon w uzdrowisku rozpoczynał się 1 maja, a kończył zazwyczaj 1 października. Kuracjusze niekiedy zjeżdżali się licznie, a niekiedy bywało tylko kilka osób. Frekwencję być może próbowano zwiększyć przez uruchomienie w 1898 r. przystanku kolejowego w Jaśkowicach, gdyż wcześniej kuracjusze wysiadali na stacji w Wielkich Drogach. Opinie o uzdrowisku były różne. Znany balneolog prof. Ludomił Korczyński uważał, że Jaśkowice to jedyne uzdrowisko w okolicy zasługujące na miano podmiejskiego zakładu leczniczego, zarezerwowane dotąd krakowskim Swoszowicom. Pewien lekarz twierdził

Kuracja metodą ks. Kneippa. Ilustracja z roku 1894 (źródło: Wikipedia)

Budynek zakładu hydropatycznego w latach 60. XX w. (dzisiejszy dom ludowy „Kąpiele", foto z archiwum Autora)

z kolei, że Kneipp to blagier, i nie widział dotąd tak nieprzyjemnej miejscowości jak Jaśkowice. Inni mówili, że Jaśkowice to urocza i cicha miejscowość ze zdrową wodą. Niestety, brakowało słów uznania dla tej jakże pożytecznej działalności, której celem była pomoc chorym, zatem frekwencja z roku na rok malała.

Początki bywają trudne. Czy Zubrzycki w takiej sytuacji poddał się? Nie, wręcz przeciwnie! Nadal reklamował zakład. Reklamy pojawiały się w sezonie prawie codziennie, opisywano uzdrowisko w publikacjach z zakresu balneologii, a w 1903 r. zatrudniono jako lekarza zakładowego znanego doktora Józefa Zanietowskiego. Zanietowski był niezwykle lubianym i szanowanym lekarzem, pracującym m.in. w Krynicy i Swoszowicach. Jego renoma bardzo pomogła Zubrzyckiemu w promocji Jaśkowic. Jaśkowice w końcu wkraczały w okres świetności.

Doktor Zanietowski wprowadzał nowe metody leczenia, m.in. mechanoterapię i elektroterapię. Niestety, sądząc po ogłoszeniach, odchodzono powoli od metody ks. Kneippa, która zupełnie nie przy-

jęła się w naszym kraju, i paradoksalnie stało się to jedną z przyczyn upadku uzdrowiska. Do Jaśkowic zapraszano wiele wycieczek. Przyjeżdżały kluby kolarskie, wioślarskie, nawet Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół" ze Skawiny i z Krakowa organizowało pokazy w zakładzie. Zubrzycki organizował w sezonie liczne spotkania towarzyskie przy akompaniamencie orkiestry, z różnymi grami i zabawami. Słowem — życie towarzyskie w Jaśkowicach kwitło. Jednym z najsłynniejszych jaśkowskich kuracjuszy był znany warszawski kompozytor Zygmunt Noskowski. Artysta szukał spokoju i natchnienia przy komponowaniu, a Jaśkowice swoim pięknem na tyle go zainspirowały, że napisał symfonię *Od wiosny do wiosny*, która była później grana w Filharmonii Warszawskiej. Wydawałoby się, że nasze uzdrowisko zaraz prześcignie okoliczne zdrojowiska albo dorówna innym znanym kurortom. Nie wiadomo, jak wyglądała wtedy sytuacja finansowa Antoniego Zubrzyckiego, ale w roku 1900 bardzo dużo zmieniło się w jego życiu prywatnym, co być może zaważyło na przyszłości Jaśkowic. Pod koniec tego roku zmarła w wieku 47 lat jego druga żona — Maria z Dwernickich. Niedługo mąż przeżywał żałobę, gdyż niecały rok później ożenił się ponownie z 24-letnią Elwirą ze Schmidtów, prawdopodobnie krewną Adama Schmidta, który był w tym czasie lekarzem zakładowym w Jaśkowicach. Uzdrowisko miało się wtedy bardzo dobrze, frekwencja była wysoka, ale stało się coś, czego nikt by się nie spodziewał. W 1904 r. Antoni Zubrzycki zrezygnował z dalszego prowadzenia zakładu. Po ośmiu latach kończy się pierwszy okres działalności uzdrowiska, wszystko się nagle zatrzymuje, Zubrzyccy bezpowrotnie opuszczają wieś i ważą się losy Jaśkowic.

Pojawił się jednak człowiek, który uwierzył w ogromny potencjał Jaśkowic i kupił majątek ziemski wraz z uzdrowiskiem. Był to dr Władysław Grabowicz. Początkowo był on lekarzem wojskowym w Rzeszowie, a następnie prowadził własny zakład leczniczy w Krynicy-Zdroju. Co ciekawe, był to jeden z najlepszych pensjonatów w Krynicy. Wraz z żoną Justyną zaczął prowadzić własne uzdrowisko w Jaśkowicach. Nie wiadomo, jak prezentowała się frekwencja w uzdrowisku za czasów Grabowiczów, ale nie reklamowano go już tak często jak za Zubrzyckich. Wzmianki o Jaśkowicach jako zakładzie wodoleczniczym pojawiają się do 1911 r. Wtedy prawdopodob-

Rok V. Kraków, dnia 15. maja 1908 r. Nr. 3.

PRZEWODNIK KĄPIELOWY

Popierajmy polskie zdrojowiska i uzdrowiska!

nie Grabowiczowie zrezygnowali z prowadzenia uzdrowiska. Skończyło się 15 lat sławy wsi. Jaśkowice zaczęły wtedy pełnić rolę letniska. W sezonie letnim wille przeznaczano na kolonie dla dzieci i młodzieży. Przyjeżdżało wtedy nawet 100 dzieci wraz z wychowawcami z całego województwa. W 1927 r. Władysław Grabowicz zmarł.

W sierpniu 1931 r. miało miejsce jedno z najtragiczniejszych wydarzeń w historii Jaśkowic, które przekreśliło wszelkie szanse na powrót do uzdrowiskowej tradycji. Nieznany sprawca podpalił zabudowania dworskie i pouzdrowiskowe rodziny Grabowiczów. W krótkim czasie spaliła się większość budynków, prawdopodobnie wtedy spłonęły też drewniane wille z dawnego uzdrowiska. Szkody wynosiły blisko 22 000 zł, co w przybliżeniu na dzisiejsze czasy dałoby kwotę prawie 500 000 zł.

Obecnie, gdy o uzdrowisku prawie nikt nie pamięta, w starych gazetach czy zapomnianych przewodnikach nadal tkwią zapisane drobnym drukiem ślady dawnej świetności Jaśkowic. Tam gdzie dziś stoi dom ludowy, 125 lat temu kuracjusze zażywali leczniczych kąpieli. Dom pod numerem 1 był kiedyś wspaniałym dworem, a niedaleko niego można zobaczyć ślady po zdrojowej studni. Zachowało się jednak coś, co już zawsze będzie przypominać o uzdrowiskowej tradycji Jaśkowic — woda. We wsi są zlokalizowane bogate złoża wody siarczanowo-żelazistej, porównywalnej z jej odpowiednikami w Krzeszowicach czy w Krynicy. Szkoda, że upadł projekt odbudowy studni zdrojowej. Mogła to być ciekawa atrakcja turystyczna i impuls do dalszego rozwoju wsi. Wymarły dwa ostatnie rody właścicieli Jaśko-

wic. Syn Antoniego Zubrzyckiego, kapitan c.k. armii, Bolesław Zubrzycki, walczył w I wojnie światowej i prawdopodobnie nie wrócił do Ojczyzny. Ostatni z Grabowiczów, Karol, zmarł w 1956 r., a jego żona w 1989 r. Członkowie obu rodów są pochowani na cmentarzu Rakowickim w Krakowie.

Mam nadzieję, że te parę słów nakreślone przeze mnie chociaż trochę przybliży ten nieco zapomniany aspekt historii wsi Jaśkowice. W końcu stare dokumenty niszczeją, budynki idą w rozsypkę, ale pamięć pozostaje. W 2021 r. obchodziliśmy 125. rocznicę powstania uzdrowiska w Jaśkowicach, w którym leczono — jak mawiał ks. Kneipp — najdoskonalszym darem od Boga, jakim jest woda. Oby w niedalekiej przyszłości udało się przywrócić dawnemu uzdrowisku należne miejsce w świadomości mieszkańców, ale także całej okolicy. Niech pamięć o nim nauczy nas szacunku do przeszłości, ale zwłaszcza, w kontekście ostatnich lat, pamiętajmy o dbaniu o zdrowie, które było niegdyś hasłem reklamowym Jaśkowic…

BIBLIOGRAFIA

Czasopisma:

„Nowa Reforma", „Głos Narodu", „Czas", „Przegląd Zdrojowy", „Gazeta Warszawska", „Dziennik Polski", „Gazeta Lwowska", „Dziennik Poznański", „Gazeta Narodowa"

Książki:

Ludomił Korczyński, *Nieco o naszych zdrojowiskach i leczeniu metodą ks. Kneippa*, Lwów 1900.

Ludomił Korczyński, *Zarys balneoterapii i balneografii krajowej. Dla użytku lekarzy i uczniów*, Kraków 1900.

Przewodniki po uzdrowiskach galicyjskich i europejskich, w których jest mowa o Jaśkowicach:

Jarosław Kita, *Zapomniane polskie uzdrowiska*, Łódź 2016 — [Autor, prof. Uniwersytetu Łódzkiego, jako jeden z niewielu zainteresował się uzdrowiskiem w Jaśkowicach i zebrał wiele materiałów na jego temat].

ks. Sebastian Kneipp, *Moje leczenie wodą*, tłum. Julian Łukaszkiewicz, 2022. Zbiory Biblioteki Jagiellońskiej, Archiwum Narodowego w Krakowie, Biblioteki Kórnickiej PAN, Archiwum WUOZ w Krakowie.

Krystyna KOLSTRUNG-GRAJNY

WSPOMNIENIE O WANDZIE FRAŃCZAK

Wanda Frańczak (1926–2023)

Wanda Frańczak (28.02.1926–23.08.2023) — miłośniczka książek, bibliotekarka i propagatorka czytelnictwa w każdym pokoleniu i w każdym środowisku.

Nie była rodowitą Skawianką. Do Skawiny przyjechała z trójką dzieci ze Słupska w woj. pomorskim, gdy mąż, wysokiej klasy specjalista, został powołany na głównego księgowego w Powszechnej Spółdzielni Spożywców w Skawinie, gdzie pracował aż do śmierci. Rodzina bardzo szybko zadomowiła się w naszym mieście. Zamieszkała w bloku przy ul. Szkolnej. Byli szczęśliwą rodziną, a matka dzięki wrodzonej łagodności, pogodnemu usposobieniu i wyrozumiałości tworzyła w domu atmosferę pełną ciepła, miłości i wzajemnego szacunku. Była też otwarta na innych ludzi, łatwo nawiązywała serdeczne relacje, szczególnie ze starszymi osobami. Ludzie lgnęli do niej, bo umiała słuchać i miała dar pomagania oraz doradzania potrzebującym pomocy. Wyróżniała ją ogromna miłość do książek i tą miłość przez całe życie starała się przekazywać swoim dzieciom: Mariuszowi, Joannie i Lidii oraz innym ludziom. Starsze dzieci zdobyły wykształcenie techniczne, a najmłodsza Lidia przejęła po matce zainteresowania bibliofilskie.

Właśnie to ukochanie książek i osobowość pani Wandy sprawiły, że znalazła ona pracę w Bibliotece Miejskiej w Skawinie mieszczącej się wówczas na parterze kamienicy w Rynku pod numerem 3. Praca była dla pani Wandy Frańczak pasją i powołaniem, a bibliote-

ka drugim domem, chociaż całkiem bez wygód, bo nawet do toalety trzeba było biegać na drugą stronę ulicy, a regały na książki rozpierano kijami od mioteł, aby nie przewróciły się jedne na drugie.

Aby jak najlepiej realizować misję promocji czytelnictwa, pani Wanda podnosiła swoje kwalifikacje zawodowe na kursach prowadzonych przez Państwowy Ośrodek Kształcenia Korespondencyjnego Bibliotekarzy. Po ich ukończeniu przejęła kierownictwo po pani Wandzie Machowiczowej, której zasługą było stworzenie wokół biblioteki centrum życia kulturalnego miasta. Pani Machowiczowa organizowała konkursy czytelnicze, wycieczki krajoznawcze, wyprawy do operetki czy muzeów krakowskich oraz spotkania autorskie. Zachowały się po tej działalności dwie pamiątki: mały portrecik pani Wandy Machowiczowej z datą „1967" autorstwa Antoniego Wasilewskiego — rysownika i publicysty oraz fraszka Jana Izydora Sztaudyngera:

Skawino, głoszę to dla Twej sławy…
Że zapach tu poparty filiżanką kawy,
Z żalem się z Tobą człek rozstawa,
Jakże cudownie pachnie tutaj kawa…
Reakcja tutaj była bardzo żywa
I nawet wieszak się urywa.

Marzeniem pani Wandy Frańczak stało się teraz dotarcie z książką do ludzi spoza miasta, stworzenie filii bibliotek w każdej gminie, a także bibliotecznego oddziału dla dzieci w Skawinie. Drugą troską kierowniczki była poprawa fatalnych warunków lokalowych, z myślą o pracownikach i czytelnikach odwiedzających bibliotekę, ale także o zgromadzonym księgozbiorze. Pani Wanda miała duży zmysł organizacyjny i stworzyła taki zespół ludzi, w którym każdy wykonywał to, co potrafił najlepiej. We wspomnieniach bibliotekarzy pracujących pod kierownictwem pani Frańczak wszyscy z ochotą przychodzili do pracy, gdzie szefowa wymagała najwięcej od siebie i ze zrozumieniem podchodziła do ludzkich słabości.

Pani Wanda Frańczak była bardzo oczytana i na bieżąco poszukiwała nowości wydawnicze, ale także z uwagą śledziła w gazetach, co się dzieje w Polsce i na świecie. Starała się tak rozbudowywać księgozbiór, aby każdy przychodzący do biblioteki znalazł odpowiednią dla siebie lekturę. Była z pokolenia tych bibliofilów, którzy wierzyli,

że dobre książki potrafią zmieniać ludzi i świat na lepsze. Wiele uwagi i serca poświęcała Kołu Przyjaciół Biblioteki. Przychodziły tu bardzo chętnie starsze osoby, panie i panowie, nie tylko po to, by coś wypożyczyć, ale i porozmawiać o książkach i o życiu. Zawsze znalazła dla nich krzesełka i kilka minut na rozmowę.

Korzystając z nabytych na kursach umiejętności, pani Frańczak utworzyła filie biblioteki na nowo powstających osiedlach oraz osobną filię dla dzieci w bloku przy ul. Słonecznej 16. Powstały też pierwsze filie we wsiach należących do Gminy: w Radziszowie, Woli Radziszowskiej, Borku Szlacheckim, Wielkich Drogach i Jaśkowicach, które odwiedzała i otaczała opieką merytoryczną. Później, w latach 70. XX w. ukończyła jeszcze kursy bibliotekoznawstwa prowadzone przez prof. Jacka Wojciechowskiego, dyrektora Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Krakowie i kierownika Katedry Bibliotekoznawstwa na Uniwersytecie Jagiellońskim. Aktywność Wandy Frańczak w tworzeniu sieci bibliotek gminnych budziła szacunek władz miasta. W nagrodę pani Wanda została mianowana dyrektorką Miejsko-Gminnej Biblioteki Publicznej w Skawinie. Również prof. Jacek Wojciechowski, który wizytował bibliotekę, wysoko oceniał jej wkład w rozwój czytelnictwa.

Rok 1981 przyniósł duże zmiany. Biblioteka przeniosła się z Rynku do budynku starej poczty przy ul. Żwirki i Wigury 17, ale tylko do pomieszczeń na parterze. Nie było tam luksusu, ale warunki pracy były nieporównywalnie lepsze. Było więcej miejsca na księgozbiór oraz na spotkania coraz liczniejszego Koła Przyjaciół Biblioteki. Wtedy też przeniesiono filię dla dzieci z ul. Słonecznej 16 na ul. Buczka, obecnie ul. Jerzego Popiełuszki (później, przed 1992 r., filia dla dzieci i młodzieży mieściła się prawdopodobnie na piętrze budynku Skawa). Jakiś czas pracowała tam na pół etatu najmłodsza córka pani Wandy — Lidia, która wraz ze starszym rodzeństwem już od najmłodszych lat urzędowała razem z mamą w bibliotece. Dzieci pani Frańczak często pomagały w drobnych pracach, takich jak oprawianie książek czy naklejanie numerków. Korzystając z bliskości szkoły przy ul. Żwirki i Wigury, pani Wanda Frańczak chętnie gościła nauczycieli z uczniami, dla których przygotowywała pogadanki o książkach lub zajęcia praktyczne z oprawiania książek.

Pani Wanda Frańczak nie skupiała się tylko na pracy w bibliotece, włączała się także do organizacji różnych wydarzeń kulturalnych w mieście i gminie. Za swą pracę otrzymała odznakę „Za Zasługi dla Ziemi Krakowskiej" w 1979 r. i „Złoty Krzyż Zasługi" w 1986 r. W Bibliotece Miejskiej w Skawinie przy ul. Żwirki i Wigury 17 pracowała do stycznia 1992 r., a na emeryturę przeszła w wieku 66 lat.

Od stycznia do lipca 1992 r. biblioteką kierowała pani Teresa Baran, a w lipcu bibliotekę przejęło Centrum Kultury i Sportu w Skawinie. W październiku tegoż roku władze miasta przeznaczyły na nową siedzibę willę Ludwikowskich przy ul. Mickiewicza 26, gdzie wcześniej urzędował Komitet Miejski PZPZR, a jeszcze wcześniej mieścił się Miejski Ośrodek Zdrowia. Nastąpiła kolejna, ale nie ostatnia przeprowadzka Biblioteki Miejskiej.

Dalsze losy ukochanej biblioteki Wanda Frańczak obserwowała już jako emerytka, chyba z zadowoleniem, bo wychowała sobie godne następczynie. Żyła jeszcze długo, wśród najbliższej rodziny (doczekała się pięcioro wnuków i dziewięcioro prawnuków), wśród książek i krzyżówek, które były jej ogromną prywatną pasją. Dożyła sędziwego wieku 97 lat, zachowując pogodę ducha i jasność umysłu. Zmarła 23 sierpnia 2023 r. w domu w Krakowie.

Krystyna KOLSTRUNG-GRAJNY

KOCHAJMY WIERZBY

Wystarczy jedna poczciwa wierzbina
Nie trzeba dębów tysięcy
Z szeptem się ku mnie przygina
Bóg jest — i czegóż mi więcej?

I prawda, jest tak pospolita, iż była często uważana za drzewo byle jakie, nieszanowane. Bo przecież rośnie byle gdzie, bo można z niej zrobić byle co, ot miotłę, fujarkę, koszyk, często spróchniała albo gnijąca w bagnie, zawadzająca przy drodze. Gdzie tam krzywej, garbatej wierzbie do potężnych dębów, miododajnych lip, niebosiężnych świerków — ale pali się dobrze.

A ja bardzo lubię wierzby i myślę, że ona jest kolejnym dowodem niepojętej fantazji i szczodroty Boga.

Wierzby to drzewa, które rosną na prawie wszystkich kontynentach oprócz Australii, Afryki równikowej i Antarktydy. Na półkuli północnej w strefie umiarkowanej jest najwięcej gatunków wierzby (Salix) — przyrodnicy opisali od 350 do 470 gatunków. Tylko w Chinach jest ich 257, w Europie 64, a w Polsce naliczono 26–30. I jeszcze do tego niektóre potrafią się krzyżować, tworząc nowe odmiany trudne do rozróżnienia. Ze skruchą przyznam, że nie wiem, ile gatunków rośnie w Skawinie, bo rozpoznaję tylko kilka.

Wierzba jest też bardzo różnorodna pod względem pokroju, czyli kształtu korony, kwiatostanu, wyglądu liści (najczęściej o blaszce wąskiej i długiej). Może być drzewem, wysokim lub niskim, krzewem, małą krzewinką albo płożącą się po ziemi rośliną. Najwyższe drzewa przekraczają 30 m wysokości, najmniejsze to kilkucentymetrowe, płożące wierzby zielne.

W naszym kraju najczęściej można spotkać następujące gatunki wierzby: wierzby drzewiaste: wierzba biała, płacząca, wyniosła, krucha, iwa, wierzby krzewiaste: szara, łoza, rokita, witwa (wiciowa), wierzba iwa, wierzba wikliniarska. Mniej liczne są wierzby: alpejska, borówkolistna, dwubarwna, purpurowa. Sprowadzane są też wierzby ogrodowe dekoracyjne, jak na przykład niewielka wierzba japońska

i wierzba o mocno kędzierzawych wiotkich gałązkach i listkach, które wyglądają jak fryzura „na mokrą Włoszkę".

Wierzba w Polsce występuje tylko w 26 odmianach, lecz jest uznawana za typowo polskie drzewo i faktycznie kiedyś była bardzo charakterystycznym elementem naszego krajobrazu. Wraz z topolami wytyczała drogi, rosła na miedzach i na łąkach, przy wiejskich zagrodach i kościołach, w parkach miejskich, na cmentarzach. Jest bardzo mało wymagająca, ale jednocześnie chroni glebę przed erozją. Urośnie szybko nawet na piaskach Mazowsza i na zniszczonych przez przemysł nieużytkach, za co dziękował jej poeta Teofil Lenartowicz strofami wiersza:

Witam cię drzewo, ty najmniej cenione
Piasków Mazowsza jedyna ozdobo
Wierzbo, ty moja przyjaciółko z sioła.

Niskie gatunki wierzby oraz odmiany krzaczaste zwane łozami porastały brzegi rzek, strumieni, stawów i jezior, tworząc tak zwane lasy łęgowe, będące siedliskiem wielu gatunków ptaków. Wierzby bardzo dobrze czują się na terenach wilgotnych, zalewowych, mokradłach, a nawet na bagnach. Ciężkie czasy dla wierzb nastały po II wojnie światowej, gdy zaczęto intensywnie unowocześniać i uprzemysławiać kraj. Masowo wycinano wierzby przy budowie i poszerzaniu dróg. Melioracja brutalnie rozprawiła się z wierzbami na polach, łąkach, miedzach i na terenach podmokłych. Również podejmowana na wielką skalę regulacja rzek oraz budowa różnych urządzeń wodnych niszczyła zarośla wierzbowe — łęgi chroniące brzegi. I w obecnych czasach, w miastach tak chętnie brukowanych, asfaltowanych, betonowanych i wykładanych płytami kamiennymi, nie ma miejsca dla wierzb lubiących wodę. Wierzba jest sadzona przeważnie na terenach zielonych nowo budowanych osiedli, bo szybko rośnie. Szkoda tylko, że deweloperzy i architekci do minimum zmniejszają ich powierzchnię.

Przez Skawinę przepływa rzeka Skawinka wraz ze strumykami Brzozówką (u podnóża Falbówek i Gubałówki) i Rzepnikiem, która wpada do Wisły 3 km od miasta. W czasach mojego dzieciństwa i młodości Skawinka płynęła jeszcze starym korytem wzdłuż łąk i dzikich chaszczów nazywanych wtedy Isep, aż do starej rzeźni,

i skręcała na zachód, biegnąc skrajem parku do mostu. Nie było wówczas wałów, a jej brzegi po obu stronach porastały łęgi — dzikie zarośla wierzby szarej, łozy oraz wierzby białej, a także inne drzewa. Taki dziki fragment lasu łęgowego zachował się jeszcze na zachodnim brzegu Skawinki, gdzie przez kilka lat były żeremia bobrów. Tylko tam latem można wypatrzeć kormorany siedzące na wysokich drzewach, a w nurcie rzeki śledzić bobra z gałęzią w pyszczku. Bobry dobrze wiedzą, że wierzby to czyściciele wody, ich korzenie zatrzymują kadm i ołów, poza tym umacniają brzegi i regulują poziom wody.

Wokół stawu utworzonego ze starorzecza Skawinki rośnie jeszcze może kilkanaście okazów wysokiej wierzby białej i wierzby wyniosłej. Nad samą wodą pochylają się wierzby płaczące, a zwisające nadłamane konary i zielone warkocze długich, ulistnionych gałązek służą kaczkom za alkowy do odpoczynku i toalety piórek. W cieniu tych wierzb rybacy moczą wędki w wodzie, a mamy dają swoim maluchom pierwsze lekcje przyrody. Z roku na rok w parku ubywa starych wierzb i innych drzew. Choć żywotne, długowieczne z natury nie przywykły do tak radykalnych zmian klimatu i występujących coraz częściej huraganów. Z obawy, by łamiące się suche konary nie zagroziły bezpieczeństwu ludzi stare okazy są wycinane i leżą pokotem na trawie. Można tylko użalić się nad nimi słowami wiersza lirycznego poety Szymona Szymonowica:

I wy wierzby byłyście kiedyś boginiami
Teraz wód pilnujecie, stojąc nad brzegami.

Za drewnianym mostkiem, tam gdzie do stawu wpada mały strumyczek (dawna Czekajówka), rośnie nieduża wierzba płacząca pochylona nad ławeczką, aby użyczać cienia odpoczywającym lub czytającym książkę.

Przy bramie na Błonia Skawińskie zapraszają do wejścia rosnące w szeregu niskie, pękate wierzby, zwane kruchymi albo iwami, z nastroszonymi zielonymi prętami. Wyglądają jak małe przysadziste przekupki okryte burymi kabatami, z zielonymi chustami na rozwianych włosach. Tylko patrzeć jak zaczną wyciągać z tobołków jaja i gomółki sera, by częstować gości, a jedna tuli już do siebie okrągły

bochen chleba. Przed zimą wierzby te stracą swe bujne zielone czupryny — zostaną ogłowione, czyli pozbawione wierzbowych prętów, dawniej potrzebnych do wyplatania koszyków i biczów do poganiania bydła, a obecnie chyba tylko po to, aby nie traciły kulistego kształtu korony. Dlatego nazywane były wdowami, bo jak wiejskie baby i Żydówki po śmierci męża mają golone głowy.

Choć kruche z nazwy, są bardzo żywotne. Co roku na wiosnę odradzają się i najwcześniej ze wszystkich drzew wypuszczają zielone gałązki i srebrzyste bazie zwane kotkami. Na kwiatostanach wierzby żywią się trzmiele, pszczoły, motyle i ćmy. Nieogławiane wierzby iwy wyrastają na większe drzewa i wczesną wiosną, kiedy zakwitną, są najbardziej miododajnymi żywicielkami pszczół. Teofil Lenartowicz głosił im pochwałę wierszem:

Wierzbo ty moja, którą wiek on stary
Mianem przyodział najpiękniejszej wiary
Przeto, że pierwsza u wiejskiego płotu
Pękasz na powiew ciepłych dni powrotu.

Poza błoniami, parkiem i brzegami Skawinki w wielu miejscach w mieście można spotkać wysokie i dorodne wierzby białe oraz wyniosłe z grubymi konarami i gałęziami skierowanymi w górę. Za murem cmentarnym przy drodze prowadzącej do Krakowa szczególną uwagę przyciągały kiedyś dwie bliźniacze wierzby, z pniami skręconymi wokół siebie w miłosnym uścisku. Zostały wycięte przy przebudowie drogi i rond. Spacerując po Skawinie, warto rozglądać się dookoła i podziwiać, jak piękne i ciekawe są drzewa — wszystkie, nie tylko wierzby. Na przykład grupa okazałych wierzb zdobiących trawniki między orlikiem, osiedlem przy ul. Popiełuszki a parkingiem. Wszystkie podobne do siebie: rosochate, z grubymi pniami rozwidlającymi się ze dwa metry nad ziemią na dwa wielkie konary. Czyż nie wyglądają jak wielkie matematyczne „y" albo kamertony, które szumią pod wpływem uderzeń wiatru? Czyż nie zachęcają, aby wdrapać się w rozwidlenie konarów, oprzeć o pień i wypatrywać ptaków lub poczuć jak drzewo żyje. Nie wszyscy pamiętają, że sporo lat temu w pobliżu tych wierzb przepływał mały strumyczek zwany Czekajówką. Mijał tyły ogrodów po prawej

i starą targowicę po lewej stronie. Potem kanałem pod ziemią przecinał ul. Żwirki i Wigury i tak jak dzisiaj płynął głębokim rowem w dół i wpadał do Skawinki.

Ten kto uczył się w szkole podstawowej lub w liceum przy ul. Żwirki i Wigury pamięta na pewno ogromniastą wierzbę płaczącą sięgającą po dach szkoły. Jej zwisająca prawie do ziemi korona była jak wielki namiot wezyra i cała klasa mogła pod nią biegać lub grać w berka. W czasie lekcji uczniowie, stojąc przy tablicy, patrzyli w okno i szukali w niej natchnienia, a ona opłakiwała każdą dwóję i zły uczniowski los.

A dwie wierzby rosnące przy chodniku prowadzącym do kościoła Miłosierdzia Bożego. Były tak piękne i bujne, że zasłaniały widok kościoła, a ich długie warkocze głaskały ludzi po głowach. Pokolenie dorosłych dobrze pamięta krótką wizytę papieża Jana Pawła II w Skawinie i starania, aby mógł choćby z dołu zobaczyć kościół i obraz Jezusa Miłosiernego. Obraz Chrystusa zniesiono, a kościół odsłonięto kosztem koron wierzb, które zostały mocno przycięte. Jednej pięknie odrodziła się korona, ale drugą powaliła wielka wichura na wiosnę 2023 r.

Na starych skawińskich osiedlach rośnie dużo gatunków wysokich drzew o wielkich koronach. Wśród nich sporo jest wierzb rosochatych białych i wyniosłych. Zasadzone w odpowiedniej odległości od budynków, nie zabierają mieszkaniom światła, a dają dużo tlenu i łagodnego cienia. Drzewa sadzone zbyt gęsto lub tuż przed oknami, gdy się rozrosną, przeszkadzają mieszkańcom i są skazywane na wycinkę lub tak radykalne cięcia konarów, że stają się karykaturami drzew. Inaczej starzeje się i umiera drzewo w naturze, a inaczej okaleczone przez człowieka. Wiele wierzb z gatunku białych i wyniosłych rośnie na skwerach między blokami na osiedlu przy ul. Bukowskiej. Wraz z innymi gatunkami wysokich drzew i kwietnymi ogródkami pod oknami tworzą przyjazne środowisko dla mieszkańców w każdym wieku. I ludzie, i drzewa muszą mieć odpowiednią przestrzeń do życia.

Szczególnie dużo przestrzeni potrzebuje wierzba płacząca, której korona zwisa niemal do ziemi. Jest taka duża, piękna i samotna wierzba płacząca na zielonej łące przy ul. Batalionów Chłopskich. Daj Boże, żeby jeszcze długo zostawili ją w spokoju.

Nie tylko zdrowe i dorodne okazy drzew są warte uwagi. Bardzo ciekawe są też wierzby nazywane dziuplastymi. Nie jest to oczywiście nazwa gatunkowa, tylko takimi się stają ze starości. Szybciej starzeją się wierzby ogławiane i kruche, do których należy na przykład wierzba iwa, wierzba szara i wierzba rokita. Ponieważ przed zimą są ogławiane, przez uszkodzoną korę dostają się do wnętrza pnia różne drobnoustroje. Jako że mają miękką warstwę bieli, szybko próchnieją.

Taką wierzbę szybko zasiedlają liczni lokatorzy. Najwcześniej różne owady: świetliki i chrząszcze, potem ptaki: dzięcioły, sójki, dudki, które wydziobują dziuple. Większe wypróchniałe dziuple zamieszkują sowy, puszczyki, pustułki. Kiedy dziupli utworzy się więcej, to na niższych piętrach ulokuje się wąż czy ropucha, a między korzeniami nawet królik znajdzie schronienie. Z biegiem lat wnętrze drzewa zupełnie się rozsypuje i zostaje czasem pusty pień. Wierzba jest jednak tak żywotna, że na wiosnę nawet z małego kawałka żywej tkanki drzewa wypuści zieloną witkę z listeczkami. Ludzie na wsi powiadali, że nawet stara wierzbowa miotła w kącie podwórza potrafi się okryć listkami.

W dzieciństwie po niedzielnym obiedzie chodziliśmy często całą rodziną na spacery gdzieś w pola, do lasu, wzdłuż Skawinki. Moją ulubioną trasą była dzisiejsza ul. Bukowska, wtedy jeszcze bez bloków i bez asfaltu, za to z brzozowymi zagajnikami po bokach. Nieco powyżej wylotu dzisiejszej ul. Jana Pawła II schodziliśmy z drogi na polną dróżkę prowadzącą płytkim wąwozem w dół do doliny potoku Brzozówka. I tam właśnie rosły wierzby iwy, podobne do tych na Błoniach Skawińskich. Były wówczas jeszcze dość czerstwe z zielonymi ulistnionymi gałązkami na głowie. Rosły na piaszczystym podłożu, tuż przy ścianie wąwozu i trochę się pochylały, a kora była miejscami popękana z sypiącym się próchnem. Niżej, tam gdzie zaczynała się dolina, nie było wierzb tylko kilka pięknych, wysokich dębów. Już wtedy polubiłam te drzewa i często tamtędy chodziliśmy, czy to na spacer, czy z tatą na grzyby. Potem przez ćwierć wieku nie mieszkałam w Skawinie, a gdy znów wróciłam, odwiedzałam to miejsce często, obserwując, jak drzewa starzeją się wraz ze mną. Obecnie dęby stoją jak stały, utraciły tylko trochę konarów, ale są krzepkie. Z wierzb niestety zostały resztki. Niektóre pogarbione,

z pokrzywionymi pniami, już nawet nie dziuplaste, ale z wielkimi dziurami na wylot. Z innych zostały tylko czerepy kory o przedziwnych kształtach, mogących konkurować z rzeźbami awangardowych artystów. Ale jeszcze uparcie żyją i kołyszą na wietrze kępami zielonych, wiklinowych prętów.

Z czasów wczesnej młodości zapamiętałam również skupisko niesamowitych wierzb. Kiedyś, wiele lat wcześniej, zanim je zauważyłam, były zapewne zwykłymi wierzbami i rosły sobie przy drodze do Radziszowa, w miejscu nazywanym pod Kamienną, u podnóża Falbówek. Z lasu po wschodniej stronie drogi wypływał strumyczek, który rozlewał się po obu jej stronach. Na podmokłych łąkach pod lasem wiosną kwitły przebiśniegi, a po zachodniej stronie drogi, gdzie rosły wierzby, woda gromadziła się w naturalnym zagłębieniu terenu. Z biegiem lat wokół tych kilku wierzb powstało całkiem spore bagno. Wierzby stały zanurzone do połowy wysokości pnia w czarnej smolistej wodzie i powoli próchniały, obrastały mchem, garbami i hubą. Nieobcinane konary skręcały się jak węże, a pręty wierzbowe tworzyły istne kołtuny poplątane z jakimiś wijącymi się roślinami. Z czarnej wody wystawały gnijące konary i trzciny. Miejsce to wyglądało niesamowicie pod wieczór, kiedy ostatnie promienie słońca przesączały się przez gałęzie i ślizgały po wodzie, tworząc to srebrne, to czerwonawe błyski. Trochę inaczej to miejsce wyglądało, kiedy świecił księżyc i było pełno gwiazd. Kontury drzew były idealnie czarne na tle granatowego nieba, a woda w bagnie mieniła się srebrem. Trochę bałam się tego miejsca, ale fascynowało mnie. Takie bagniste miejsca z wierzbami w wierzeniach pogańskich były uważane za wrota do świata podziemnego.

W dawnych wierzeniach panujących w basenie Morza Śródziemnego i w Europie wierzba miała bardzo bogatą symbolikę. Łączono ją z bóstwami Księżyca i Wenus, którym z kolei podlegały duchy świata podziemnego, duchy lasów, wód oraz boginie płodności. Wierzba była drzewem życia i symbolem płodności. Nazywano ją też „drzewem miłującym życie" przez to, że taka żywotna, urośnie i w piasku, i w wodzie, a mała witka wierzbowa włożona do ziemi wypuści szybko korzenie i listki. Wierzba była także łączona z mitologicznymi bóstwami związanymi ze śmiercią, jak na przykład Persefona czy Tanatos, oraz uważana za drzewo będące łącznikiem między księżycem, wodą, ziemią i zaświatami.

Chrześcijaństwo zdegradowało te wszystkie pogańskie bóstwa do rangi czartów i czarownic, ale w tradycji ludowej wierzba nadal była związana z księżycowym cyklem umierania i odradzania się i uważana za drzewo magii i czarów. W polskim folklorze ludowym zielonym witkom wierzbowym przypisywano magiczne moce. Na wiosnę smagano nimi młode dziewczęta po łydkach, aby były płodne i szybko za mąż wychodziły. Wierzba była też łączona z czarami i czarownicami, które na wierzbowych miotłach pędziły nad chmurami na sabaty. Czartem, czyli ludowym diabłem, był Rokita chętnie zamieszkujący wierzbowe dziuple pełne próchna, w których chował złoto. Rokita był poczciwym, nieszkodliwym czortem. Lubił psocić, ale można się było z nim dogadać, a nawet go oszukać. Czasem Rokita oddawał ludziom drobne przysługi, a to pozwalał targać gałęzie ze swojej wierzby, a to pilnował, by ktoś przez złe uroki nie podbierał krowom mleka. Niekiedy razem z nim w dużej rosochatej wierzbie, zwanej też Babicą, mieszkała czarownica zwaną Babą Jagą, uważana za matkę lub babkę Rokity, która trafiła do bajek dla dzieci. Wierzbom czarownicom i diabłom poświęcił strofę Kazimierz Wierzyński:

Wierzby alkowy czarownic
Z którymi diabły się żenią
Pogrzeb wśród krzywych gromnic
Próchno świecące jesienią.

Z diabłami wierzbowymi wiąże się też wiele przysłów: „kręci jak diabeł suchą wierzbą", „zakochał się jak diabeł w suchej wierzbie" albo „śmieje się jak diabeł w pustej wierzbie".

Wierzba jako odradzające się drzewo życia trafiła również do religii chrześcijańskiej i jest związana z obrzędami wielkanocnymi, przede wszystkim z Niedzielą Palmową. Wierni w procesji nieśli poświęcone palmy z zielonych gałązek, obsypane srebrnymi baziami i żółtymi kocankami, dopiero w późniejszych czasach dekorowano je kolorowymi wstążeczkami, piórkami, kwiatkami. Palmę wielkanocną zatykano za obraz albo przybijano nad drzwiami, by chroniła dom przed piorunami. Małe gałązki wyjęte z palmy wtykano do ziemi ornej i wkładano do ula dla lepszego urodzaju. Z wiklinowych gałązek robiono bicze do poganiania bydła, by się lepiej pasło.

Starożytni chrześcijanie w Grecji łączyli wierzbę ze zmartwychwstaniem Chrystusa, a także z postacią Judasza, który wedle tradycji miał się powiesić na wierzbie — drzewie śmierci.

Wszystkie gatunki wierzb posiadają też wiele cennych właściwości zdrowotnych, znanych od dawien dawna. W lecznictwie wykorzystywano każdy kawałek wierzb — od listka po korzenie. Liście tamowały krwotoki, kąpiel w gałązkach pomagała przy konwulsjach, łyko wierzbowe było dobre na różę, a próchno na puchlinę wodną. Suszona kora była lekarstwem na febrę, a bazie utarte z octem likwidowały brodawki. Kotki wierzbowe z poświęconej palmy w niektórych okolicach łykano dla ochrony gardła. Z kolei sposobem na bezsenność było spanie pod wierzbą wiklinową. Lecznicze przymioty wierzby wykorzystywane są i dziś. Z zawartych w korze salicylów robi się kwas salicylowy, który jest składnikiem różnych lekarstw przeciwzapalnych i przeciwbólowych.

Wierzby miały również wiele praktycznych zastosowań. Do dziś są dobrym i tanim drzewem opałowym pozyskiwanym z szybko odrastających konarów, wypala się z nich węgiel drzewny. Z kory wierzbowej produkuje się garbniki. Z cienkich wierzbowych witek robiono miotły, wyplatano koszyki i półkoszki, ducki i inne pojemniki na produkty spożywcze. Z grubszych prętów pleciono płotki wokół ogródków ziołowych i szkielet okapu nad piecem. W czasach współczesnych zakłada się całe plantacje wikliny o różnych właściwościach, a plecionkarstwo i wikliniarstwo jest uznanym rzemiosłem i dziedziną sztuki.

Wierzba jest też bezpośrednio związana z muzyką ludową czy pasterską, bowiem z niej wykonywano instrumenty. Z grubych konarów wierzby wyrabiano instrumenty strunowe, dęte i perkusyjne. Ze zwijanej spiralnie kory robiono krótkie 30 cm trąbki zwane pierdzielami, którymi odstraszano złe duchy. Z cienkich gałązek wierzby kręcono fujarki i piszczałki, na których pasterze wygrywali tęskne melodie, a dziewczęta śpiewały piosenki T. Lenartowicza inspirowane wierzbą:

U tej krynicy, u tej kaliny
Jasio fujarki kręcił z wierzbiny
I grywał na niej długo, żałośnie
Gdzie u krynicy kalina rośnie.

Polskie wierzby były natchnieniem i miłością Fryderyka Chopina, a szelest listków był jak nutki zapisane na pięciolinii. Symbolem tego związku jest pomnik w Łazienkach Królewskich i proste słowa:

Siedzi pomnik Chopina pod wierzby pomnikiem
Oboje zasłuchani w najcichszą muzykę,
Tę, którą szumią ciche, mazowieckie łany
I srebrnosina wstęga jasności wiślanej
Kochał Chopin tę wierzbę, wierzba go kochała
I o ojczystym kraju pieśń opowiadała.

Zacytowane w tekście fragmenty kilku wierszy świadczą najlepiej o tym, że wierzby były też natchnieniem poetów i zapewniły sobie trwały kąteczek w literaturze polskiej, a szczególnie w literaturze okresu Romantyzmu i Młodej Polski.

Jak przedziwne są dzieła Boże... A to tylko wierzba...

Autorem wszystkich zdjęć jest Marcin Grajny.
Korzystano z www.gieraltowski.pl/symbolika wierzby/

Karol KOŚCIELNY

103. ROCZNICA ZAŚLUBIN POLSKI Z MORZEM

Na wstępie chciałbym serdecznie podziękować Prezesowi Towarzystwa Pamięci Generała Józefa Hallera i Hallerczyków z Jurczyc Leszkowi Krupnikowi za zaproszenie do uczestnictwa w obchodach 103. rocznicy Zaślubin Polski z Morzem w Pucku. Pobyt zaplanowała Teresa Szczygieł, kustosz Izby Pamięci Rodu Hallerów. Towarzystwo reprezentowali wieloletni jego członkowie: p. Marek Maciejko odpowiedzialny za logistykę i mundury oraz p. Zdzisław Szczygieł będący w poczcie sztandarowym. Na czwartek, 9 lutego 2023 r. zaplanowaliśmy wyjazd nad Bałtyk. Przed 11:00 wyruszyliśmy sprzed Izby Pamięci, siedziby Towarzystwa. Zza szyb samochodu podziwialiśmy małopolskie krajobrazy udekorowane bielutkim świeżym puchem skrzącym się w promieniach zimowego słońca. Na wysokości centralnej Polski krajobraz zaczął się zmieniać — już pozbawiony śniegu zwiastował nieśpiesznie nadchodzącą wiosnę. Podróż do Pucka przebiegła bez niespodzianek i korków. Na miejsce dotarliśmy około godziny 17.00. Nocowaliśmy w domu prywatnym, na poddaszu, które zostało zaadaptowane na współczesny jasny i przestronny apartament z kuchnią, łazienką i telewizorem, do którego dotarcie umożliwiały kręte i wąskie schody. Spędziliśmy tu dwie noce.

Na obiadokolację pojechaliśmy do centrum, na Stary Rynek. Po zasięgnięciu opinii u lokalnych mieszkańców udaliśmy się do liczącego około siedemset lat kontorhaus Huty Szkła PuckGlass. Obecnie w kamienicy na parterze mieści się kawiarnia i restauracja, a na piętrze działa odnowiona manufaktura i szlifiernia szkła. W pomieszczeniach jest też galeria z wyrobami ze szkła. Po smacznym posiłku udaliśmy się na spacer, w czasie którego podziwialiśmy Zatokę Pucką oraz port wieczorową porą. Po powrocie na nocleg odwiedził nas Jerzy Kłępa, który ze względu na zapełniony terminarz i pełnioną funkcję sołtysa Jurczyc pobyt w Pucku musiał ograniczyć do minimum. Omówiliśmy szczegóły następnego dnia. W piątek,

Obraz *Zaślubiny Polski z Bałtykiem* autorstwa Wojciecha Kossaka. Generał Józef Haller w dniu 10 lutego 1920 r. wrzucił pierścień w fale Bałtyku (źródło: domena publiczna)

10 lutego zaczęły się przygotowania do oficjalnych obchodów 103. rocznicy Zaślubin Polski z Morzem.

W 1920 r. gen. Józef Haller, dowódca Frontu Pomorskiego, realizował ustalenia konferencji paryskiej i traktatu wersalskiego. Dokument ratyfikowany 10 stycznia 1920 r. określał zachodnie i północne granice odrodzonej po 123 latach zaborów Polski i gwarantował dostęp do Morza Bałtyckiego. 18 stycznia Błękitna Armia zdobyła Toruń, 20 stycznia Bydgoszcz i podążała w stronę wybrzeża, aby 10 lutego dotrzeć do Pucka, gdzie odbyła się symboliczna uroczystość Zaślubin Polski z Morzem. Przed oczami mamy obraz Wojciecha Kossaka, na którym gen. Józef Haller wjeżdża do morza na koniu i rzuca platynowy pierścień w odmęty fal morskich, a na brzegu towarzyszą mu błękitni ułani.

W bezchmurny słoneczny poranek pełni emocji udajemy się na Rynek, przed Ratusz Miejski w Pucku, gdzie rozpoczynają się uroczyste obchody jubileuszu odzyskania przez Polskę dostępu do

Morza. W uroczystościach biorą udział zaproszeni goście, około trzydziestu pocztów sztandarowych, a wśród nich p. Adam Woźniczka, organizator Prywatnego Muzeum Generała Hallera w Jurczycach. Plac wypełniają przedstawiciele wojska, mieszkańcy, rybacy, marynarze, przedstawiciele Kaszubów, uczniowie, studenci Akademii Marynarki Wojennej w Gdyni. Szyku dodaje asysta honorowa Orkiestry Reprezentacyjnej Marynarki Wojennej. Przemawia Burmistrz Pucka Hanna Pruchniewska, następnie Prezes Ligi Morskiej i Rzecznej Andrzej Królikowski. O godzinie 10.00 rozpoczyna się msza święta w farze pod wezwaniem św. ap. Piotra i Pawła, odprawiana przez biskupa pomocniczego Wiesława Szlachetkę. Po mszy w szyku marszowym udajemy się na kolejną część uroczystości do portu rybackiego w Pucku. Ustawieni w szeregu na nabrzeżu za basenem portowym obserwujemy rozgrywające się wydarzenia. Na scenie pojawia się zespół wokalny Klubu Marynarki Wojennej z Gdyni. Dwie wokalistki i dwóch wokalistów śpiewają *Hymn do Bałtyku* oraz *Morze, nasze morze*. Zostają wręczone odznaczenia przez Ligę Morską i Rzeczną. Następnie przemawiają zaproszeni goście. Wojewoda pomorski Dariusz Drelich odczytuje list Pani Marszałek Sejmu Ewy Witek:

> [...] Rocznicowe uroczystości w Pucku stwarzają sposobność, abyśmy na tamte wydarzenia spojrzeli z dumą, dostrzegając w nich także inspirację dla współczesnych działań służących wykorzystaniu naszego morskiego potencjału. Winniśmy bowiem dokonać wszelkich starań, tak jak czynili to nasi przodkowie, by Polska Morska rosła w siłę. [...]

Po przemówieniach ma miejsce ceremonia złożenia kwiatów pod pomnikiem gen. Józefa Hallera, obok którego była rozłożona scena. Wśród morza wiązanek znalazła się ta z Jurczyc przygotowana przez seniorów. Ważnym punktem uroczystości było złożenie symbolicznego pierścienia do morza przez ratownika opuszczonego nad taflę wody z pokładu wojskowego helikoptera służb morskich. Uczniowie szkół morskich z trudem utrzymują falującą na wietrze flagę, która z roku na rok jest dłuższa, w tym roku ma 103 metry. Ostry wiatr wiejący od morza odczuwamy już na całym ciele. Po zakończeniu uroczystości z przyjemnością udajemy się na ciepły posiłek do Ratusza Miejskiego na Starym Rynku, gdzie o godzinie 17.00 uczestniczymy w pięknym, trwającym ponad godzinę koncercie zespołu wokalnego. Wieczorem odwiedzamy restaurację na puckim molo, gdzie w doborowym towarzystwie przy dźwiękach gitary miło spędzamy czas, śpiewając szanty i pieśni biesiadne z lokalnym artystą.

Następnego dnia na zaproszenie generała brygady Mariana Leszka Wiśniewskiego jedziemy do Władysławowa na uroczystości związane z pierwszym pełnomorskim rejsem pod biało-czerwoną banderą.

Obchody rozpoczynają się mszą świętą w kościele pw. Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny, uświetnioną śpiewem chóru uczniów i absolwentów szkoły muzycznej. Następnie w uroczystym pochodzie poczty sztandarowe, brygada wojska polskiego, liczni gości i mieszkańcy podążają na ul. Morską pod pomnik gen. Józefa

Hallera, gdzie zaplanowano apel pamięci z potrójną salwą z broni długiej, złożenie kwiatów i przemówienia gości. Do pochodu dołączają lokalni rybacy w strojach z epoki i bryczką nadjeżdża Generał. Udajemy się do portu na dalszą część uroczystości, pod kamień z tablicą upamiętniającą słowa Błękitnego Generała i pierwszy rejs Gwiazdą Morza z ówczesnej Wielkiej Wsi. Posilamy się grochówką i poznajemy latarnika z Rozewia, który jest trzecim pokoleniem w rodzinie wykonującym te obowiązki. Odwiedzamy „Hallerówkę", oddział Muzeum Ziemi Puckiej im. Floriana Ceynowy na ul. Morskiej 6. Zwiedzanie nie trwa długo, dziękujemy gen. Wiśniewskiemu za zaproszenie i rychło wracamy do Pucka na konferencję popularnonaukową poświęconą tematyce muzealniczej, regionalnej i morskiej. Siedmiu prelegentów zaciekawiło swoimi wystąpieniami, wprowadzając w niezmiernie interesujące tematy. Po przerwie kawowej Teresa Szczygieł i Leszek Krupnik zapoznali przybyłych z już 23-letnią działalnością. Korzystając z okazji, zaprosili do Jurczyc na sierpniowe uroczystości związane z obchodami 150. jubileuszu urodzin gen. Józefa Hallera. Wieczorem poszliśmy na obiadokolację do znanej już restauracji na molo.

W niedzielę spakowani udaliśmy się na mszę świętą, gdzie kazanie i prezentację skierowaną do młodych wygłosił i przedstawił ks. Zbigniew Gełdon, wicedyrektor katolickiej rozgłośni diecezji peplińskiej ,,Radio Głos". Nie chcąc rozstawać się z Bałtykiem, zdecydowaliśmy, że odwiedzimy najnowszą inwestycję morską na Mierzei

Wiślanej. Na miejscu oglądnęliśmy mosty obrotowe, grodzie, śluzy, betonowe elementy umocnień o ciekawych, powtarzalnych kształtach, budynek kapitanatu portu „Nowy świat", spacerowaliśmy nabrzeżem kanału żeglugowego na szeroką usypaną plażę. Pod ogromnym wrażeniem, zmarznięci udaliśmy się na zakupy do lokalnej wędzarni ryb. Wizyta nad morzem nie mogła obyć się bez smażonego dorsza z frytkami. Dotarło do nas, że wracamy już do domu. Przez Warszawę dotarliśmy przed północą do Jurczyc.

Fotografie z archiwum Autora

Krystyna KOLSTRUNG-GRAJNY, Ewa TARNOPOLSKA

BIESIADA, ŻE HEJ!

22 października 2023 r. od godzin popołudniowych do zmroku wnętrza Pałacyku „Sokół" rozbrzmiewały gwarem, śpiewem i muzyką. Salę teatralną zapełniły kolorowe grupy w strojach regionalnych krakowskich i podmiejskich, skawińskich i inspirowanych kulturą ludową. Przybyli też towarzyszący im sympatycy folkloru ze Skawiny i podległych gmin wiejskich. Organizatorem tego wydarzenia pod tytułem „Biesiada, że hej!" było Towarzystwo Przyjaciół Skawiny i działająca przy nim grupa śpiewająca „Niesiemy radość". Wśród zaproszonych gości znaleźli się: koło gospodyń wiejskich „Nowe Dwory", kapela z Jurczyc, „Tańczące Kumoszki" z Paszkówki oraz „Brandysowe Róże" z Wielkich Dróg. Wodzirejem i prowadzącym biesiadę był pan Andrzej Bober.

„Biesiada, że hej!" była pomyślana jako spotkanie działających w Skawinie i należących do niej gminach grup artystycznych i regionalnych. Stała się okazją do bliższego poznania się i porozmawiania, a także podzielenia się kłopotami i niedostatkami oraz planami na przyszłość. Biesiada dała możliwość zaproszonym grupom zaprezentowania swoich dokonań, nawiązania współpracy oraz poszukiwania nowych pomysłów na ożywienie działalności i zachęcenie całego społeczeństwa do udziału w życiu kulturalnym. Była to też okazja do wesołej zabawy. Gospodarze oraz zaproszeni goście przygotowali stół zastawiony dobrym chlebem z domowym smalcem ze skwarkami i ogórkiem kiszonym oraz stosami placków i ciastek w myśl przysłowia „czym chata bogata". Na zwilżenie gardeł czekała do wyboru woda z miętą i cytryną, kawa i herbata.

Biesiada rozpoczęła się powitaniem przez Przewodniczącego TPS Stanisława Grodeckiego i prezentacją wszystkich zespołów, które zaśpiewały i zagrały po dwa utwory. Potem prowadzący zaproponował wspólne śpiewanie popularnych piosenek i zaprosił do poczęstunku. Niestety, warunki lokalowe nie pozwoliły zasiąść wszystkim przy stole. Musiał wystarczyć jeden stół biesiadny pod galerią i krzesła ustawione w rzędach. Dla wygody zaproszonych gości za stołem

foto Jarosław Karasiński

uwijała się zaprzyjaźniona wolontariuszka z młodym synem Jakubem. Bardzo sprytni i obrotni dokładali smakołyków i zapraszali do częstowania się.

Biesiada spontanicznie przemieniła się w zabawę z tańcami, przerywanymi ponownymi występami zespołów wywoływanych przez wodzireja na scenę. Wszystkie grupy śpiewające ładnie prezentowały się na scenie w starannie przygotowanych strojach, a wśród krakowskich bogato zdobionych gorsetów wypatrzyć można było nawet bardzo stare, zabytkowe już egzemplarze, haftowane szklanymi koralikami i słomkami z motywami kwiatów różanych. W trakcie zabawy wszystkie zespoły i reszta gości wymieszały się razem. Na każdym wolnym skrawku podłogi najbardziej żywiołowe tanecznice, a to z „Nowych Dworów", a to „Tańczące Kumoszki", a to z „Niosących Radość", a to z „Brandysowych Róż" brały się za ręce i przytupem krążyły w kółeczko. Kółeczko zmieniło się w taneczny slalom pomiędzy rzędami krzeseł. Wirujący i tańczący wąż co rusz „wyciągał" z krzeseł siedzące osoby, aby w wesołych podrygach krążyć po sali. Niespodzianką był też przyjazd wraz z zespołem „Brandysowe Róże" z Wielkich Dróg grupy dzieci od przed-

szkolaków do nastolatków. Najmłodsze krakowianeczki Nadia i Nela Szwed, bardzo śmiałe i rezolutne dziewuszki, podbiły serca publiczności solowymi przyśpiewkami z elementami tańca. Na koniec starsza Nadia poprosiła o mikrofon, aby: „wygłosić krótkie przemówienie" i oceniła , że: „wszyscy sprawili się na medal". I niech ta ocena wystarczy za podsumowanie „Biesiady, że hej!" Najmłodsze krakowianeczki Nadia i Nala Szwed, bardzo śmiałe i rezolutne, podbiły serca publiczności solowymi przyśpiewkami z elementami tańca. Na koniec starsza Nadia poprosiła o mikrofon, aby „wygłosić krótkie przemówienie" i oceniła, że „wszyscy sprawili się na medal". I niech ta ocena wystarczy za podsumowanie „Biesiady, że hej!".

Pozytywnym rezultatem biesiady było ogólne przekonanie, że takie spotkania są potrzebne, szczególnie zespołom wiejskim, których członkowie od czasu do czasu powinni oderwać się od swojego środowiska i codziennej krzątaniny. Uczestnicy spotkania rozmawiali także o kłopotach, z jakimi borykają się zespoły artystyczne. Najważniejszą troską jest brak nowych młodych osób, które by zastąpiły powoli wykruszające się roczniki. Zespołom zaczyna poważnie brakować muzykantów grających amatorsko, a nie zawodowo, i posiadających nie tylko serce i talent do grania, ale też zdrowie i siły. Gra na niektórych instrumentach, na przykład na akordeonie czy instrumentach dętych, wymaga bowiem dużego wysiłku fizycznego i mocnych płuc.

Na koniec organizatorzy dziękują wszystkim paniom pracującym w Sokole, które odpowiednio udekorowały scenę oraz służyły radą i pomocą w trakcie przygotowań. Bardzo doceniają też pracę Pana Stanisława, który przygotował i obsługiwał sprzęt nagłaśniający oraz Pana Jarosława uwijającego się z aparatem fotograficznym i utrwalającego biesiadę na zdjęciach. Wszystkim uczestnikom dziękujemy za przybycie i liczymy na życzliwe, rady które pozwolą na przyszłość jeszcze lepiej zorganizować takie wydarzenia.